
Przed prawem. Tekst (literacki) w świecie cyfrowym

Łukasz Musiał

TEKSTY DRUGIE 2020, NR 2, S. 291–306

DOI: 10.18318/td.2020.2.18 | ORCID: 0000-0003-1572-3861

1

W 2016 roku Franco Moretti, z pewnością najbardziej znany przedstawiciel komputerowo wspomaganých ilościowych badań literackich, zakończył szkic pod tytułem *Literatura – zmierzona* postulatem, aby „pewnego dnia wielkie zbiory danych przywiodły nas z powrotem do wielkich pytań”¹.

Zgoda, tylko dlaczego czekać na ów nieokreślony „pewien dzień” i nie zadawać takich pytań już teraz? Na szczęście bardzo ich wiele stawiają sobie i czytelnikom autorzy artykułów zgromadzonych w opublikowanym jakiś czas temu zeszycie „Tekstów Drugich” (1/2017), poświęconych ideom i metodom tak zwanej Nowej Humanistyki. Część sformułowanych tam opinii bez wątpienia zasługuje na uwagę, inne budzą opór, nieraz bardzo gwałtowny. Na pewno chętnie zgodzę się z Ewą Szczęsną (autorką tekstu *Humanistyka wobec rozwoju technologii*

Łukasz Musiał – prof. Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, dr hab.; zainteresowania badawcze: historia literatury niemieckojęzycznej, *world literature*; teoria literatury, komparatystyka literacka; ostatnie publikacje: *Kafka. W poszukiwaniu utraconej rzeczywistości* (2011); *O bólu. Pięć rozważań w poszukiwaniu autora* (2016); *Do czego używa się literatury?* (2016).

1 F. Moretti *Literatura – zmierzona*, przeł. M. Maryl, „Teksty Drugie” 2017 nr 1, s. 219.

cyfrowych), która twierdzi, że przestrzeń cyfrowa jest dla humanistyki „wielką szansą na [...] wyjście poza teorie końca, śmierci i kolejne posty w stronę tworzenia nowych form tekstowych i dyskursywnych oraz ich badania, nazywania i problematyzowania”². Zarówno jej artykuł, jak i kilka innych (np. Macieja Maryła czy Urszuli Pawlickiej) są żywym dowodem na słuszność tej tezy. Mój sprzeciw budzi natomiast obecny w niektórych wypowiedziach patos inauguracywności, czyli wyrażane z ogromną powagą przekonanie, że oto jako badacze literatury i humaniści dzięki humanistyce cyfrowej odnaleźliśmy nieledwie kamień filozoficzny, który nareszcie pozwoli nam zmierzyć (świadomie, choć nie bez intencji polemicznej odwołuję się do problematycznego określenia Morettiego) prawdziwą wartość literatury i humanistyki w jej zakresie całościowohistorycznym i globalnym – jak gdyby kilkadziesiąt lat wcześniej formalizm i strukturalizm nie chciały dokładnie tego samego przy użyciu dostępnych im środków. Za tym stanowiskiem czasami stoi wątpliwe przekonanie, jakoby to, co sparametryzowane, było lepsze od tego, co niesparametryzowane (opinia, która, na marginesie, stanowi wprost wymarzony prezent dla wszystkich zwolenników idei parametryzacji i korporacyjności w nauce, zwłaszcza dla miłośniców nam panujących urzędników Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego). Podobny opór powstaje, gdy do refleksji niektórych badaczy (także tych niezwiązanych z dziedziną humanistyki cyfrowej, lecz ogólnie z obszaru tzw. Nowej Humanistyki) wkrada się ton chwilami nieomal profetyczny: badania literackie i ogólnie nauki humanistyczne niepostrzeżenie czyni się zakładnikami – choćby w zamyśle najślusniejszych – powinności, także moralnych. Kiedy czytam deklaracje o „odzyskiwaniu udziału w przyszłości” (Przemysław Czapliński³) czy o przyszłym „losie literaturoznawstwa” (Arkadiusz Żychliński⁴), to z jednej strony obu znakomitym badaczom chciałbym przyznać w duchu rację, z drugiej mam ochotę zastosować brzytwę Ockhama i powiedzieć, że nikt przecież tak naprawdę nie wie, czy literatura „ma” w ogóle coś tak wzniosłego jak „los”, podobnie jak nikt nie wie, jaka będzie jej przyszłość. To bowiem, co nazywamy przyszłością, jest w takich wypadkach zazwyczaj tylko światopoglądowo lub nawet ideologicznie umotywowaną projekcją teraźniejszości. Przyznam wreszcie, że nigdy specjalnie nie wierzyłem – a dziś wierzę jeszcze

2 E. Szczęsna *Humanistyka wobec rozwoju technologii cyfrowych*, „Teksty Drugie” 2017 nr 1, s. 312.

3 P. Czapliński *Sploty*, „Teksty Drugie” 2017 nr 1, s. 16.

4 A. Żychliński *Fikcjogramy. Elementy przemiany literatury współczesnej*, „Teksty Drugie” 2017 nr 1, s. 197.

mniej – w szczególną misję humanistyki, o jakiej mowa w kilku artykułach, a którą miałyby być formowanie krytycznej samowiedzy oraz wrażliwości jednostek i wspólnot. Zastanawiam się bowiem, w jaki sposób taką krytyczną samowiedzę i wrażliwość można by obiektywnie określić, jak ją – znów przekornie używam tego słowa – zmierzyć? I dlaczego akurat my, humaniści, przyznajemy sobie prawo do formułowania kryteriów w tym względzie? Nigdy tego wprawdzie nie mierzyłem (!), ale doświadczenia zbierane od prawie dwóch dekad pracy w „branży” akademickiej pozwalają mi wątpić w to, że przeciętny poziom krytycznej samowiedzy i wrażliwości jest w naszej grupie zawodowej większy niż w innych sferach społecznych. Sądzę, że my, akademicy i humaniści, potrafimy jedynie sprawniej o nich mówić i pisać (publicznie), ale to przecież coś zupełnie innego.

Niemniej jesteśmy świadkami przełomu, zgoda. I co do jednego nie ma, jak mi się wydaje, wątpliwości: współczesna humanistyka w coraz większym wymiarze przechodzi, jak stwierdza słusznie Przemysław Czapliński, „od konkretnych obiektów do badania sieci, w której obiekty są wytwarzane, od dzieł do procesów wytwórczych, od gotowych artefaktów do warunków ich powstawania”⁵. W niniejszym artykule chciałbym spojrzeć na te zjawiska z lotu ptaka, a zwłaszcza zastanowić się, w jaki sposób przemiany fizycznych właściwości tekstu (rzecz o kluczowym być może znaczeniu dla wielu opisywanych tutaj procesów) wpływają na technologie czytania i pisania, te zaś – na zachodzące na naszych oczach fundamentalne zmiany w obrębie czegoś, co można nazwać infrastrukturą instytucji literatury.

2

Najpierw odwołam się do obserwacji, o której pisałem już w swojej książce *Do czego używa się literatury?*⁶, a wyniesionej z praktyki dydaktycznej. Otóż większość uczniów i studentów – którymi wszyscy przecież kiedyś byliśmy – w procesie nauki nabiera mimowolnie przeświadczenia, że literatura to coś, co przede wszystkim służy do składowania w bibliotekach, omawiania w ciasnych pomieszczeniach klasowych, dusznych salach seminaryjnych i na konferencjach czy jako pretekst do drobiazgowych roztrząsań opakowanych w formę rozprawki, artykułu, eseju, monografii. Słowem, coś, do czego – ażeby stosownie o tym mówić – jest niezbędna jakaś odpowiednia instytucjonalna

5 P. Czapliński *Sploty*, s. 15.

6 Ł. Musiał *Do czego używa się literatury?*, Fundacja „Tygodnika Powszechnego”, Kraków 2016.

oprawa, czasami nawet bardzo dostojna. Jak gdyby właśnie ona – oprawa – stanowiła właściwą przestrzeń literatury, nie zaś, dla przykładu, fotel, w którym wygodnie siedzimy i oddajemy się przyjemnościom lektury. Zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy bardzo wielu przedstawicieli humanistyki na wyścigi chce nas, czytelników, zamienić w zakładników najprzeróżniejszych powinności, także moralnych, zwrot „przyjemność lektury” brzmi cokolwiek podejrzanie; jak gdyby nie wystarczało, że lektura tak po prostu sprawia nam satysfakcję, ona musi być jeszcze – pozwolę sobie na odrobinę sarkazmu – wartościowa oraz przynosić wymierną (mierzalną?) korzyść w postaci wzrostu samoświadomości, wrażliwości i krytycyzmu. Nie mam nic przeciwko tym ostatnim, jestem tylko przekonany, że uznawać je a priori za konieczny efekt lektury to pewne nadużycie.

Jeśli o mnie chodzi, zajęcia ze studentami zwykle zaczynam od tego, że... wyprowadzam ich z sali seminaryjnej, a potem z budynku uniwersytetu. Tak wygląda nasze pierwsze spotkanie poświęcone literaturze – idziemy „w miasto”. Spacerujemy, rozglądamy się, wymieniamy wrażeniami, coś notujemy. Odwiedzamy dworce kolejowe, centra handlowe, kawiarnie. I na resztę naszych spotkań staramy się za wszelką cenę zapamiętać jedno: że literatura rodzi się i żyje przede wszystkim właśnie tam, w miejscach, gdzie krzyżują się ludzkie doświadczenia. Banał? Może i tak. Ale czasami nigdy dość powtarzania banałów.

Niestety, tak się składa, że ostatnio żyjemy w czasach, kiedy te historie krzyżują się często w sposób dramatyczny, dużo bardziej dramatyczny niż dekadę, dwie dekady wcześniej – na dworcach wybuchają bomby, do siedzących w kawiarniach turystów strzela się z karabinów maszynowych, po ulicach biegają terroryści uzbrojeni w noże, bez żadnej litości mordując, kogo popadnie, a pandemie paraliżują nasze życie codzienne. W takich warunkach tym trudniej podjąć decyzję, aby opuścić bezpieczne mury szkoły, uniwersytetu, sali seminaryjnej, sali konferencyjnej, biblioteki, pokoju. Ale czytać, jak się czytało do tej pory? Czy tak się jeszcze da, czy tak wolno, czy tak wypada? Nie znam odpowiedzi. Mam jedynie poczucie, i chciałbym się z tym poczuciem podzielić, że literatura być może staje przed wyzwaniem, przed jakimi nie stawała od dawna. I to bardzo licznymi, na wielu różnych płaszczyznach. Jeśli uznać, że wszystkie one składają się na pewien rodzaj prawa (rozumiem je nie jako zbiór przepisów, lecz jako niedostrzegalny jeszcze w całości, mimo to powoli rysujący się nowy porządek rzeczy), to niewątpliwie literatura staje „przed prawem”. Nowym i szczególnego rodzaju, na które składają się gwałtowne przeobrażenia społeczno-polityczno-kulturowo-gospodarcze

ostatnich lat i dekad. Przeobrażenia te mają ogromny wpływ na literaturę, jej infrastrukturę i instytucje. Spośród wielu zjawisk, z którymi mamy obecnie do czynienia i które sprawiają, że literatura podlega przemianom o znaczeniu fundamentalnym dla jej przyszłości, chciałbym mówić dzisiaj o jednym, za to wyjątkowym: o dokonującym się na naszych oczach, tu i ówdzie już diagnozowanym, zaniku kultury pisma i ekspansji kultury cyfrowej.

3

„Czasami tytuł rozbrzmiewa jak cytat innego tytułu”. Tak swój słynny esej zatytułowany *Przed Prawem*⁷ rozpoczyna Jacques Derrida. Po czym kontynuuje: „Ale gdy już nazwie coś innego, to przestaje być zwykłym cytatem i odrywa ów drugi tytuł pod osłoną homonimu”⁸. Mamy rok 1983, Derrida sięga po legendarny tekst Franza Kafki, zatytułowany w oryginale *Vor dem Gesetz*, co na język polski tłumaczymy właśnie jako *Przed Prawem*. Nie wchodząc w szczegóły (których omówienie przekroczyłoby wszelkie dopuszczalne ramy artykułu naukowego – utwór Kafki to jeden z najczęściej komentowanych tekstów literatury powszechnej XX wieku), powiedzmy tylko tyle, że *Vor dem Gesetz*, będący fragmentem nie mniej legendarnego *Procesu* i równocześnie enigmatycznym komentarzem do tej powieści, dla Derridy staje się pretekstem do formułowania ogólnych twierdzeń na temat istoty literatury. A raczej aporetycznego wymiaru literatury. Jedną z tych aporii interesuje go wyjątkowo: to antagonizm między niepowtarzalnością literackiego idiomu, a prawem, który ją – literaturę – określa jako literaturę właśnie, jako pewien system; określa za pomocą różnego rodzaju norm, konwencji, instytucji, na przykład instytucji autora. Autor – to truizm – jest przecież nie tylko osobą, lecz także szczególnego rodzaju instytucją literatury, instytucją o długiej tradycji i ogromnym znaczeniu.

Zazwyczaj milcząco akceptujemy istnienie tego rodzaju instytucji (i takie truizmy). Czynimy tak z wielu powodów, również dlatego, że podnoszą one rangę zawodu, który wykonujemy, a więc i nas samych, badaczy. Weźmy przypadek konferencji naukowej poświęconej literaturze: mówimy o tekstach literackich, owszem, ale czynimy to w precyzyjnie określonych i wewnętrznie

7 Tu i poniżej częściowo odwołuję się do przemyśleń zawartych w mojej książce *Kafka. W poszukiwaniu utraconej rzeczywistości*, Atut, Wrocław 2011.

8 J. Derrida *Przed Prawem*, przeł. J. Gutorow, w: *Nienasyconie. Filozofowie o Kafce*, red. Ł. Musiał, A. Żychliński, Korporacja ha!art, Kraków 2011, s. 191.

zhierarchizowanych ramach instytucjonalnych – ramy te wyznaczają na przykład stopnie naukowe uczestników konferencji, czyli ich pozycja w systemie wiedzy-władzy. Dalej, wyznacza je sama instytucja badacza, odrębna od instytucji stopnia naukowego (można być badaczem literatury, ale niekoniecznie mieć stopień naukowy), przy czym pomysł, że należy literaturę „badać”, a nie tylko ją czytać, nie jest wcale oczywisty, on również ma swoją tradycję kulturową, słowem, jest pewną konwencją kulturową funkcjonującą w systemie wiedzy-władzy; dalej, instytucja wykładu inauguracyjnego, którym często rozpoczyna się konferencje – czy z zasady nie ma on w sobie pewnej dozy ceremonialności właściwej czynnościom obrzędowym? Dalej, instytucja uniwersytetu jako świątyni wiedzy – o jej quasi-sakralnym charakterze wiele mówi choćby architektura budynków uniwersyteckich, zwłaszcza tych dawniejszych. To wszystko, i całe mnóstwo innych jeszcze rzeczy, składa się na infrastrukturę literatury i jej instytucje. Na instancję, która, powróćmy na chwilę do Derridy, decyduje o tym, że dana opowieść należy do literatury⁹. Kto zadecydował o tym, że należą do niej – dajmy na to – Balzac, Kafka, Tomasz Mann, Witkiewicz, Houellebecq? Na pewno nie konkretni krytycy literaccy i badacze. A już na pewno nie tak zwani zwykli czytelnicy. Zadecydował o tym pewien system relacji między wiedzą a władzą, system, którego wszyscy jesteśmy częścią i który zaczął kształtować się wtedy, gdy zrozumiano, całkiem słusznie zresztą, że wiedza daje władzę.

Świadomość, w jakim stopniu infrastruktura literatury i jej instytucje mają wpływ na kształt technik czytania i pisania – od czasów wynalezienia druku przez Gutenberga w połowie XV wieku to dwie podstawowe techniki kulturowe cywilizacji zachodniej – jest jak dotąd nieszczególnie rozpowszechniona, zwłaszcza wśród polskich badaczy. Dotyczy to także technik czytania i pisania literatury. Proszę zwrócić uwagę, że nawet takie arcydzieła, jak *Mimesis* Auerbacha czy *Zwierciadło i lampa* Abramsa, klasyczne rozprawy dwudziestowiecznej humanistyki i nadal obowiązkowe lektury każdego badacza literatury, traktują procesy literackie tak, jak gdyby zachodziły one wyłącznie w obszarze czystych idei. Owszem, po Auerbachu i Abramsie przyszły inne nurty, jak na przykład pragmatyzm, feminizm, historyzm, badania kulturowe, postkolonializm, antropologia rzeczy, które w wielu wypadkach pozwoliły inaczej spojrzeć na sprawy związane z produkcją, dystrybucją i recepcją literatury. Wystarczy jednak przyrzeć się tytułom wielu współcześnie powstających – w Polsce i zagranicą – rozpraw naukowych, spisom treści tomów zbiorowych,

9 J. Derrida *Przed Prawem*, s. 196.

programom sympozjów i konferencji, programom nauczania w szkole i na studiach, listom zagadnień egzaminacyjnych obowiązujących studentów polonistyki, aby stwierdzić, że literaturę czyta się, omawia i ocenia głównie w odwołaniu do kryteriów wewnątrzliterackich – i to nawet wtedy, kiedy nominalnie przywołuje się takie pojęcia, jak naród, społeczeństwo, wykluczeni, inny, queer, gender, krytycyzm, feminizm.

Derrida jako jeden z pierwszych intuicyjnie przeczuwał, że to nie wystarczy, jeśli chcemy lepiej zrozumieć dynamikę procesów literackich. Swoim intuicjom dał wyraz właśnie w eseju *Przed Prawem*. Twierdzi w nim mianowicie, że czytając jednostkowy tekst literatury – i, analogicznie, pisząc go, o ile jesteśmy autorami – zwracamy się ku jego jednostkowości i niepowtarzalności, ale równocześnie zawsze stoimy przed pewnym prawem ogólniejszym, mianowicie prawem literatury, które, jak to prawo, określa warunki owej jednostkowości, ingeruje w nią i ją limituje. Derridę z oczywistych względów interesowała bardziej ta pierwsza ewentualność, czyli pytanie, w jaki sposób literatura może – jeśli w ogóle – „obejść” prawo literatury czy też, jak czytamy, „bawić się” z nim, a więc subwersywnie je podważać, by otworzyć się na to, co nowe i dotąd niezbadane. Filozof wierzy, że wtedy odzyskamy pierwotną dynamikę języka. Nie, nie zniesiemy prawa, ponieważ prawa zniesić się nie da. Zawsze stoimy „przed prawem”, takim czy innym. Ale przynajmniej mamy szansę na coś, na co nie zdobył się bohater Kafki, który do końca życia biernie stał przed bramą wiodącą ku prawu: możemy otworzyć się na jakąś formę „wywrotowej legislacji” – takich właśnie słów używa Derrida, zbliżając się do zakończenia swoich rozważań¹⁰.

Derrida trafnie, choć nadal w sposób bardzo ogólny, rozpoznał w odniesieniu do literatury coś, co wcześniej, w latach 60. i 70., rozpoznał w odniesieniu do nauk humanistycznych Michel Foucault: związek między literaturą a jej infrastrukturą i instytucjami, między literaturą a określonymi, wypracowanymi w ciągu stuleci ewolucji kulturowej technikami czytania i pisania. Prosty przykład: czy zastanawialiśmy się kiedyś na poważnie, jaki wpływ na produkcję, dystrybucję i recepcję literatury ma to, że czytamy ją przeważnie w milczeniu, a nie, jak przez niemal cały okres starożytności, na głos? Technika cichego czytania zaczęła się rozpowszechniać, i to bardzo powoli, dopiero od VII wieku naszej ery, kiedy na szeroką skalę postanowiono stosować przerwę między słowami zapisanymi w tekście – dziś rzecz dla nas oczywista. (Proszę kiedyś poczytać sobie na głos utwory Kafki, który tworzył je z takim właśnie

10 Tamże, s. 229.

przeznaczeniem – do głośnej lektury – a zaręczam, że to będzie zupełnie inny pisarz!). Idźmy dalej: czy stojąc przed regałem wypełnionym książkami, zastanawialiśmy się kiedyś dłużej, jaki wpływ na produkcję, dystrybucję i recepcję literatury ma XIX-wieczny, w wielu wypadkach obowiązujący do dziś model biblioteki? Z jej obsesyjnie drobiazgowymi podziałami na narodowości, epoki, kierunki, autorów? Z jej nieomal neurotycznym umiłowaniem porządku alfabetycznego i systematyczności? I jaki to ma wpływ na nasz indywidualny stosunek do literatury? Dalej: czy zastanawialiśmy się kiedyś dłużej nad zależnością między rozwojem technologii druku i rynku dystrybucji książek w XIX wieku, wzrostem znaczenia funkcji krytyka literackiego i badacza literatury, a rozkwitem, niemal dokładnie w tym samym czasie, gatunku powieści?

Stawiając te wszystkie pytania – a można by ich postawić przecież znacznie więcej – chcę w gruncie rzeczy powiedzieć jedno: że infrastruktura literatury i jej instytucje kształtują, strukturyzują i utrwalają, i to niejednokrotnie w decydującym stopniu, szablony myślowe, jakie nakładamy na zjawiska literackie, próbując je zrozumieć, porządkować, współkształtować. Wytwory instrumentów rozwoju kulturalnego – tak twierdzi Henning Lobin, współczesny badacz mediów, do którego jeszcze tutaj wrócę – same stały się zatem częścią kultury¹¹. A także, co dodam już od siebie, częścią literatury.

Derrida pisał swój esej na początku lat 80., a zatem znowuż nie tak dawno temu. Miałem wtedy sześć, siedem lat, teraz jestem co prawda starszy, ale przecież wciąż względnie młody. Mimo to uważam, że z pewnego punktu widzenia odległość między epoką naszą a Derridy jest większa niż między początkiem ósmej dekady XX wieku a połową XV, kiedy Gutenberg konstruował swoją pierwszą maszynę do mechanicznego powielania pisma, wynalazek, który decydująco zaważył na całym późniejszym rozwoju kultury, w tym literatury; który – choć oczywiście nie od razu, mówimy o procesach trwających stulecia – określił jej prawa, a może nawet „prawo” (rozumiane, powtórzę, jako zespół formalnych i nieformalnych zasad regulujących procesy produkcji, dystrybucji i recepcji tekstów literatury, związane z nimi modele odbioru, zasady estetyczne, poetyki itp.), „Przed” tym prawem stał już z pewnością Balzac, pisząc *Komedię ludzką*, Dostojewski, publikując w odcinkach swoje najważniejsze powieści, F. Scott Fitzgerald, młoda gwiazda literatury amerykańskiej lat 20. XX wieku; stali przed nim prawie wszyscy późniejsi

11 Zob. H. Lobin *Marzenie Engelbarta. Czytanie i pisanie w świecie cyfrowym*, przeł. Ł. Musiał, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2017, s. 93.

twórcy literatury, jej czytelnicy i badacze. Stali, bo inaczej nie mogli albo wydawało im się, że nie mogą. Prawo to wyznaczały wówczas, w owej bardzo długiej epoce, między innymi następujące elementy infrastruktury i instytucje komunikacji literackiej (wymieniam je za Henningiem Lobinem¹²): 1) druk, czyli technika mechanicznego powielania pisma, dzięki czemu pismo, w tym literatura, mogło stać się dobrem powszechnym, a nie dostępnym dla garstki wybrańców; 2) wydawnictwo, czyli instytucja odpowiedzialna za nadzór nad produkcją, a potem także między innymi nad reklamą tekstów i autorów; 3) księgarnia – pierwsza powstała w roku 1796 w Hamburgu, można było tam kupować książki z różnych wydawnictw (wcześniej sprzedawali je pojedynczo wędrowni, jak ich nazywano, „kolporterzy”); 4) biblioteka – miejsce magazynowania i udostępniania nie tylko książek, ale i wiedzy, owa, by tak rzec, „świątynia wiedzy”, i nie jest to określenie na wyrost, biorąc pod uwagę architekturę bibliotek publicznych budowanych masowo od połowy XIX wieku, będących świadectwem potęgi ich fundatorów; 5) szkoła – rzecz oczywista; 6) uniwersytet – podobnie; 7) instytucja badawcza – także nie trzeba wyjaśniać; 8) rynek prasy – instytucja, która rozprzestrzeniając wiedzę, buduje w społeczeństwie określoną, wspólną świadomość, a więc tożsamość. Dodajmy takie przekonania jak to, że słowo pisane, a szczególnie drukowane, a szczególnie książka, jest pewnym 9) dobrem kulturowym, wyjątkowo cennym (stąd, nawiasem mówiąc, jeszcze dzisiaj głębokie oburzenie wielu ludzi na myśl o tym, że mogliby jakąś książkę... wyrzucić na śmieci); 10) koncepcja autorstwa i prawa autorskiego mówiąca, że tekst, zwłaszcza drukowany i opublikowany, bezwzględnie musi mieć wyraźnie wskazanego autora, którego prawa podlegają równie bezwzględnej ochronie – a przecież nie jest to wcale rzecz oczywista, ba powiedziałbym, że w wielu wypadkach koncepcja ta miała i ma nadal bardzo negatywne konsekwencje dla rozwoju literatury i rynku księgarskiego; 11) normy językowe: masowa produkcja, dystrybucja i recepcja słowa drukowanego przyczynia się do utrwalenia określonych sposobów użycia języka i literatury, bywa, że do uniformizacji; 12) idea wykształcenia: wykształcenie uznajemy za wartość samą w sobie, a kształcimy się – do niedawna było to milczące założenie niemal wszystkich koncepcji kształcenia – głównie czytając teksty i je tworząc; 14) autorytet tekstu: słowo drukowane ma zdecydowanie większą wartość niż słowo mówione – na dobrą sprawę dlaczego?; 15) kategoria oryginalności tekstu: tekst jest prawdziwie wartościowy nie tylko wtedy, gdy ma swojego wyraźnego

12 Tamże, s. 55-101.

autora, ale i gdy ów autor prezentuje coś, czego przed nim nikt w takiej formie nie prezentował; 16) statyczność tekstualności: rzecz raz opublikowana jest już fizycznie niezmienna, można ją wprawdzie opatrywać komentarzami, glosami, lecz nie sposób modyfikować jej warstwy tekstualnej (stąd znaczenie, jakie do niedawna jeszcze przypisywano samemu faktowi publikacji). Ostatni element, o którym chciałbym wspomnieć, to 17) hierarchiczność wiedzy: jesteśmy wprawdzie od dawna przyzwyczajeni do myśli, że wiedza wiedzy nie równa, ale właściwie kto lub co ustanawia w tym względzie kryteria? Przecież historia nauki wystarczająco często była świadkiem upadku jednych kryteriów i zwycięstwa innych, byśmy nie mogli bezgranicznie ufać samej zasadzie hierarchiczności. Nie muszę oczywiście wspominać, że historia literatury również zna częste przypadki zmiany paradygmatów, czyli kryteriów, wedle których ocenia się wartość tekstów literackich.

Wszystkie zasady, które przed chwilą pokrótce wymieniłem (a można ich wymienić więcej), związane z kulturowymi technikami czytania i pisania, w przypadku literatury składały się na coś, co z powodzeniem można by metaforycznie nazwać prawem literatury – prawem, przed którym jeszcze do niedawna stała większość osób uczestniczących w procesie produkcji, recepcji i dystrybucji tekstów literackich. Czasowe ramy tego procesu możemy wyznaczyć dość precyzyjnie: z jednej strony będzie to wynalazek druku w połowie XV wieku, z drugiej lato 80. XX wieku (w Polsce nieco później), czyli upowszechnienie się komputerów osobistych. Niektórzy dorzucają do tego, nie bez racji, rozwój internetu, czyli zjawisko usieciowienia komputerów w latach 90.

Poprzednią epokę Marshall McLuhan trafnie nazwał „galaktyką Gutenberga”. Nawet jeśli nie wolno traktować jej w tym względzie jako jednorodnej, to istota obowiązującego w niej prawa literatury przez stulecia nie zmieniała się, jak sądzę, w ogóle lub tylko w niewielkim wymiarze, by tak rzec, w strukturach powierzchniowych. Niektóre elementy owego prawa wymieniłem za Henningiem Lobinem wyżej.

4

Nazwisko Gutenberga i jego wynalazek znamy wszyscy. Ile osób zna nazwisko Douglasa Engelbarta? Otóż do niedawna sam nie wiedziałem, kto to jest. A przecież wszyscy powszechnie korzystamy z jego rewolucyjnych wynalazków. Jak żadne inne wynalazki ostatniego półwiecza wpłynęły one, wpływają i nadal będą wpływać na globalne przemiany

społeczno-polityczno-kulturowe. Mówimy o człowieku, który w latach 60. jako pierwszy praktycznie zrealizował koncepcję interfejsu, czyli zbudował urządzenia i stworzył oprogramowanie, które umożliwiły bezpośrednią współpracę między osobą niekoniecznie mającą wykształcenie informatyczne a komputerem. To on zaprezentował pierwszy system online, on zaprojektował pierwsze ekrany i okna, on w znaczący sposób przyczynił się do praktycznej realizacji idei hipertekstu, on wreszcie skonstruował mysz. Wymyślił prawie wszystko, co w latach 80. i 90. umożliwiło rozwój rynku komputerów osobistych, internetu, a następnie zainicjowało trwającą do dziś rewolucję cyfrową. Nie Billa Gatesa zatem, ani też Steve'a Jobsa, lecz właśnie Douglasa Engelbarta należy uznać za inicjatora owej rewolucji, za konstruktora i wynalazcę, którego idee zmieniły oblicze współczesnego świata. Ten świat zresztą nadal zmienia się na naszych oczach – bo zmienia się kultura. Kultura pisma, która decydowała o kierunku rozwoju świata od czasów Gutenberga po drugą połowę XX wieku, odchodzi w przeszłość, jej miejsce zajmuje kultura cyfrowa. Ta pierwsza nadal ma swoją infrastrukturę i swoje instytucje, jednak wszystkie one albo już się zmieniły pod wpływem globalnego procesu cyfryzacji, albo z pewnością niebawem się zmienią. Lobin opisuje swoje zdziwienie podczas wizyty w jednej najwspanialszych bibliotek świata, New York Public Library, wzniesionej na początku XX wieku monumentalnej budowli, której architektura miała wyrażać potęgę zachodniej kultury, opartej na piśmie, na technikach czytania i pisania. Zdziwienie Lobina brało się stąd, że w czytelniach tej kolosalnej biblioteki... nikt nie czytał książki, za to wszyscy siedzieli przed komputerami. Bo po co korzystać z książki, skoro coraz więcej źródeł jest dostępnych online? Decyzja, by nie sięgać po książkę, tylko pozyskać tekst w formie cyfrowej za pośrednictwem systemu online, nie ma znaczenia jedynie praktycznego. To także decyzja o znaczeniu kulturowym. To znak kulturowy. I znak nowych czasów. Wspólnie z wieloma innymi tego rodzaju znakami tworzy nowe warunki dla istnienia naszej kultury. A jeśli literatura jest jej niezbywalną częścią, to także nowe warunki życia literatury, nowe prawo dla niej, niekiedy bardzo odmienne od tego, które wyżej pokrótce scharakteryzowałem. Albo już przed tym nowym prawem stoimy, albo wkrótce stać będziemy.

Oczywiście nie wszędzie i nie zawsze można już dostrzec ten proces, co u wielu budzi sceptycyzm i reakcję w rodzaju: „Nie przesadzajmy z tą rewolucją! Wciąż istnieją tradycyjne szkoły, uniwersytety i placówki badawcze; pisarze wciąż piszą książki, wydawnictwa wciąż je wydają w dawnej formie, krytycy je krytykują, badacze badają, a czytelnicy czytają”. To wszystko

prawda. Tyle tylko, że zasadnicze pytanie nie brzmi „co?“, lecz „jak?“ W końcu przed Gutenbergiem też istniały szkoły i uniwersytety, też pisano książki i je wydawano, i ktoś je czytał. Ale chyba nie powiemy, że wynalazek druku nic nie zmienił, prawda? Ewolucja kultury to w znacznej, a być może – kto wie? – decydującej mierze ewolucja narzędzi, czyli środków technicznych. Ewolucja kultury pisma to w znacznej mierze ewolucja środków technicznych służących do produkcji, dystrybucji i recepcji tekstów. Oczywiście przez pojęcie „produkcji” rozumiem nie tylko aspekty techniczne, ale także na przykład „produkcję” obecnych w tekstach idei, konceptów, modeli narracji, poetyk.

Chcę tutaj przekonać Szanownych Czytelników do czegoś, do czego niedawno ja sam jeszcze nie byłem całkiem przekonany: otóż stosowanie określonych technik czytania i pisania ma wpływ na rozwój określonej infrastruktury i instytucji literackich, te zaś warunkują powstanie i rozwój określonych tendencji w literaturze, prezentowanych w niej koncepcji ideowych, estetyk, gatunków, poetyk, stylów odbioru, słowem, wszystkiego, co składa się na „biotop” literatury. Czy chcemy tego, czy nie, rewolucja cyfrowa ów biotop w istotnym stopniu modyfikuje. I prowadzi do powstania nowych technik czytania i pisania. Już teraz powszechnie korzystamy z nich w życiu codziennym, już teraz na szeroką skalę są wykorzystywane w szkołach, także wyższych, już teraz sięgają po nie masowo dziennikarze. Ich wszystkich gonią z kolei pisarze, na razie przede wszystkim ci pośledniejsi, ale kto wie, czy wśród młodych adeptów literatury cyfrowej nie ma przyszłego noblisty?

Lobin wymienia trzy główne cechy cyfrowych technik czytania i pisania: hybrydowość, multimedialność i uspołecznienie. Wszystkie one w istotny sposób zmieniają – dzieje się to na naszych oczach – infrastrukturę literatury i jej instytucje. Hybrydowość wyraża się w tym, że coraz więcej czynności związanych z czytaniem i pisanem przejmują od nas urządzenia cyfrowe – maszyny – a zatem instancja autora nie odnosi się już tylko do człowieka. Świetnym przykładem są najnowocześniejsze rozwiązania z zakresu tłumaczenia automatycznego, z roku na rok coraz bardziej zaawansowane, czy chociażby banalna funkcja autokorekty lub podpowiedzi wyrazów, z jakiej na co dzień korzystamy w naszych smartfonach. Już teraz internetowe portale informacyjne w znacznej mierze opierają się na tekstach napisanych automatycznie, bez udziału człowieka. Powraca kwestia, którą żartobliwie poruszał Stanisław Lem w *Bajkach robotów*: czy maszyny będą w przyszłości umiały tworzyć tak zwaną literaturę wysoką, którą człowiek będzie czytał z przyjemnością, zainteresowaniem i pożytkiem? Multimedialność, następną cechą cyfrowych technik czytania i pisania, oznacza, że w coraz większym

stopniu ulegamy skłonności do łączenia tekstu z innymi formami prezentacji, na przykład z filmem, obrazem, dźwiękiem. Co z kolei oznacza, że tym, co czytamy, nie jest wyłącznie tekst, że, ściśle rzecz ujmując, nie tyle czytamy, ile odbieramy określone treści za pomocą różnych kanałów percepcyjnych. Analogicznie: nie tyle teksty piszemy, ile je – no właśnie, brakuje tutaj właściwego słowa – formujemy? Formatujemy? Modelowym przykładem jest coraz powszechniej stosowana prezentacja multimedialna. Także na rynku wydawniczym zwiększa się liczba publikacji – mam na myśli e-booki – które korzystają z tej formy lub zbliżonych sposobów prezentacji treści. I wreszcie trzecia cecha: uspołecznienie. Coraz więcej treści pozyskujemy w systemie online, a zatem korzystając z internetu. Z którego korzystają także inni liczni użytkownicy, często równolegle, czyli w tak zwanym czasie rzeczywistym. Oznacza to, że jeden i ten sam tekst może być równolegle czytany przez wielu różnych odbiorców. Więcej: nie tylko czytany, ale także analizowany, komentowany, linkowany. W ten sam sposób może być oczywiście również pisany. Mamy już nawet pierwsze przykłady powieści internetowych, które powstają w trybie uspołecznionym. Ich wartość estetyczna jest – uwzględniając kryteria obowiązujące w krytyce literackiej i badaniach literackich – wciąż niska, ale w przyszłości może się to zmienić. W końcu taka na przykład powieść jako gatunek wypracowała dojrzałe formy dopiero po co najmniej dwóch stuleciach mozolnych eksperymentów, z dzisiejszego punktu widzenia często całkowicie nieudanych.

Modele narracji w znacznym stopniu kształtują się na podstawie określonych modeli infrastruktury literackiej i instytucji literackich. W pewnym istotnym sensie dostosowują się do nich, tak jak na przykład model powieści realistycznej XIX wieku w znacznej mierze był wynikiem „dostosowania” się systemu literatury do nowoczesnych technologii w zakresie produkcji, dystrybucji i recepcji tekstów; dzisiaj obserwujemy podobne procesy – oddziałują one bezpośrednio, choć na razie często w nieudolny sposób, na współczesne modele narracji.

Powróćmy do pytania wyjściowego, podobnego do tego, które w innym kontekście stawiał Derrida: przed jakim prawem tu stoimy? Na pewno coraz mniejszą rolę odgrywa technologia druku; produkcja, dystrybucja i recepcja tekstów odbywają się coraz częściej metodami cyfrowymi, przy wykorzystaniu możliwości, jakie oferuje hybrydyzacja, multimedialność i uspołecznienie. Dalej, księgarnie albo przeformułują swój profil działalności, albo zanikną, obserwujemy ten proces już dzisiaj. Biblioteki przestają odgrywać rolę kulturotwórczą lub ta rola jest w poważnym stopniu ograniczana.

Kształcenie w szkołach i na uniwersytetach odchodzi od prymatu tekstu. Słowo pisane przestaje być traktowane jako dobro kulturowe o szczególnym znaczeniu i wyjątkowej pozycji, w związku z tym zmniejsza się autorytet tekstu jako takiego. Przemodelowaniu z pewnością ulega również instytucja autora i prawa autorskiego, podobnie kategoria oryginalności tekstu. Statyczność tekstualności, tak znamienne dla dawnej kultury pisma, staje się w wielu wypadkach raczej wadą niż zaletą: w końcu możliwość dokonywania nieustannych ingerencji w tekście już istniejącym i opublikowanym w formie cyfrowej jest jedną z najczęściej wykorzystywanych w kulturze cyfrowej. I wreszcie hierarchiczność wiedzy: bez wątpienia zmienia się sama natura wyjściowego pytania o prawo, przed którym się stoi. Sformułowanie „przed prawem” zakłada bowiem relację hierarchiczną. Tę relację niweluje już samo istnienie systemu World Wide Web: wprawdzie z wielu różnych powodów od dawna nie jest on już tak demokratyczny jak w swoich początkach, kiedy nie istniała jeszcze funkcja administratora sieci, ale wciąż daje możliwość podważenia wielu rodzajów hierarchii na wszystkich możliwych płaszczyznach. Hierarchiczna koncepcja wiedzy jest zastępowana ideą jej usieciowienia¹³, toteż nawet sformułowanie „przed prawem” staje się w tych okolicznościach nie całkiem stosowne: zakłada ono przecież istnienie jakiejś nadrzędnej instancji, która coś określa, coś narzuca, coś limituje. W przestrzeni World Wide Web o taką jedną nadrzędną instancję dużo trudniej, sama idea hierarchiczności jest tam często traktowana podejrzliwie.

Korzystając z cyfrowych technik czytania i pisania, coraz częściej sięgamy również po funkcję automatycznego przetwarzania danych, a zatem w coraz większym stopniu zdajemy się na coś, co w znacznej mierze działa bez naszego bezpośredniego udziału i bezpośredniej kontroli. I co bardzo łatwo da się wykorzystać po to, by wywierać na nas wpływ – na przykład nowsze czytniki Kindle mogą automatycznie dostarczać firmie Amazon danych na temat tego, co czytamy, kiedy, jak szybko, co w trakcie naszej lektury pomijamy, a na czym się skupiamy itd. Tę wiedzę można następnie wykorzystać w celach marketingowych, by tworzyć hierarchie nowego rodzaju. Wniosek, jaki się nasuwa: czytając takiego e-booka, nigdy nie jesteśmy całkowicie sami. Lub, jak kto woli, ciągle jesteśmy dyskretnie śledzeni. Te i podobne zjawiska przyczyniają się z kolei do pogłębiającej się uniformizacji rynku literackiego. A w konsekwencji i samej literatury, jej poetyk, estetyk, kodów. Prawo – prawo kultury, prawo literatury – często staje się w takiej sytuacji

¹³ Tamże, s. 342.

po prostu prawem... wyszukiwarki internetowej, której algorytmy bezustannie analizują dokonywane przez nas w sieci operacje, po czym suflują nam odpowiedzi – suflują hierarchie! – które uważamy za własne. Czy nadal my sterujemy tym światem, czy od jakiegoś czasu to już on steruje nami, być może nie we wszystkich obszarach, ale w wystarczająco wielu ważnych, abyśmy zaczęli sobie uświadamiać niebezpieczeństwo samego zjawiska i związane z nim zagrożenia?

Nie chcę, aby zabrzmiało to jak czarnowidztwo, w końcu wynalazek druku także wielu przyjmowało z mieszanymi uczuciami, niektórzy wieszczyli nawet upadek całej kultury. Do tego nie doszło. Po Gutenbergu kultura nie stała się, słusznie stwierdza pod koniec swoich rozważań Lobin, ani lepsza, ani gorsza, stała się po prostu inna. Tak samo będzie z pewnością z kulturą cyfrową, której ekspansję właśnie obserwujemy. Proces ten już prowadzi do istotnych przekształceń w zakresie produkcji, dystrybucji i recepcji literatury, jej infrastruktury i instytucji, w zakresie gatunków, kodów estetycznych, poetyk, tematyki. Jest tylko kwestią czasu, kiedy doprowadzi także do powstania nowych i wartościowych tekstów literackich, które my, krytycy i badacze, powszechnie uznamy za godne uwagi. A może doprowadzi do zaniku literatury w takich formach, w jakich ją znamy? I do zaniku instytucji krytyka i badacza?

To także jest możliwe. Na szczęście kultura, podobnie jak natura, nie znosi próżni. I bez wątpienia wymyśli wtedy dla nas, krytyków i badaczy, jakieś inne, nie mniej ciekawe zajęcie.

Abstract

Łukasz Musiał

ADAM MICKIEWICZ UNIVERSITY (POZNAŃ)

Before the Law: The (Literary) Text in the Digital World

Musiał explores the main trends in today's digitisation processes and their impact on the written word, on reading and writing practices, on literature, literary research and the humanities. Starting with an analysis of Derrida's essay "Before the Law," Musiał goes on to question the emerging "law of literature" which is determined by digitisation – a cultural development whose scale and significance are comparable to the changes brought about by Gutenberg's invention of the printing press in the fifteenth century.

Keywords

the law of literature, digitalisation, literature as an institution, infrastructure of literature, techniques of reading and writing, hybridity, multimediality, socialisation